DZIŚ I JUTRO.



Powitanie armii po manewrach. Lwów.
Fot. PAT.

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POKRZYWNO, 1 PAŹDZIERNIKA 1936 NR. 2

Redakcja mówi...

Ponieważ miesiące wakacji są ogólnie pewną przerwą w ruchu wydawniczym, dopiero od listopada zaczniemy regularne podawanie recenzyj lub wzmianek o nowych książkach dla Was.

Gdybyście o jakiej książce nowej (lub t r o c h ę mniej nowej), chciały wyrazić Wasz własny sąd czy wrażenia, proszę je nadsyłać. Każdy czytelnik czyta książkę, rozumie ją i odczuwa inaczej, dlatego spojrzenie na tę samą książkę różnymi oczami będzie bardzo ciekawym.

A jeśli komu nie dopisuje czas na czytanie książek (podobno tak bywa w Waszym „zapracowanym" żywocie), jeśli nie dopisuje natchnienie i pióro — to może dopisuje — aparat fotograficzny?

Odpowiedzi Redakcji

Podhalanka. Szkoda, że artykuł z Olimpiady przyszedł za późno, bo temat dobrze ujęty. W październiku już nie aktualny. Listownie napiszę Ci więcej.

Danka F., Warszawa. „Wycieczka do Wilna" nie zmieściła się we wrześniowym numerze. Czy masz jakie nowe fotki?

Ania J., Kołomyja. Artykulik z życia kolonii przyszedł za późno. Fotografie odeślę. Czekam na zapowiedziane przez M. H. wspomnienia z wycieczek — naturalnie z ładnymi fotografiami.

Krysia Wilkosz, gimn. 440. Jakoś nie mogę się doczekać zapowiedzianej „Kretury Bułgarii". Fotki odeślę, gdy już nie będą potrzebne.

Alis. Fotografie odsyłam — i czekam na dalsze wywiady. S. T. powie Ci za kilka dni, jakie mamy plany na ten rok w „Dziś i Jutro", to Ci da orientację.

Kl. VII a gim. 440. Czekam na to, o co Was prosiłam. Proszę także o ładne fotografie! (Odbitki na błyszczącym papierze). Czy I. K. nie napisałaby czegoś o tym, jak majstrowała swój epidiaskop? To pyszny temat do nowelki „na wesoło".

Nadesłane

Wyd. „Ostoja" Poznań: Młody śpiew, t. III. Biblioteka Inscenizacyj Rytmicznych. 10 polskich pieśni ludowych. Koło mego ogródeczka. Pokusa. Kalendarzyk kieszonkowy KSMŻ.

Omówienie przesłanych książek ukaże się w numerze 3-cim 15. X.

Czy znasz czasopismo społeczno-gospodarcze dla młodzieży „M ł o d y O b y w a t e l"? (wydawane przez P. K. O. w Warszawie, ul. Jasna 9). Znajdziesz w nim dużo ciekawych wiadomości!

Czy wiecie, że wśród 10 balonów, startujących 30 sierpnia w zawodach, jeden z balonów „Gopło", był pilotowany przez pierwszą w Polsce pilotkę balonową, p. Stefanię Wojtulasiewiczównę, wyszkoloną w Aeroklubie warszawskim? Napiszemy o niej coś więcej w następnym numerze.

A teraz uwaga!

Konkurs dla psychologów

Jak bawi się moje młodsze rodzeństwo? (podać wiek brata lub siostry).

Jakie są ulubione książki 10-letnich dziewczynek?

Jakie są ulubione książki 12-letnich dziewczynek?

Termin nadsyłania odpowiedzi do 15 października b. r. Najlepsze odpowiedzi będą drukowane.

Uwa-a-ga!!

Zaczynamy półroczny turniej szaradowo - rebusowo - karykaturowo- dowcipowy! Kto do półrocza zdobędzie najwięcej punktów w nadsyłaniu, ten na Boże Narodzenie dostanie — „Coś"!

Oprócz punktów za nadsyłanie będą punkty za rozwiązywanie rebusów, szarad i innych łami-głów.

Nie odkładaj biegu o zwycięstwo na j u t r o, zacznij go d z i ś; żeby się nie skończyło tak, jak z żółwiem i zającem!



Fot. Danka Filipiakówna

K o n k u r s na najlepszą nowelę o tym psie. Termin nadsyłania do 15. X.

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POKRZYWNO, 1 PAŹDZIERNIKA 1936 NR. 2

Niech żyje Wilno!

Od miesiąca studiuję plan Wilna, przewodnik, mapy. Już trafię wszędzie. Wreszcie — pakujemy się do pociągu — sama doborowa paczka!

Od Warszawy suniemy ciągle na północny wschód. Mijamy podwarszawskie lasy z letniskami, potem gdzieś przejeżdżamy Narew leniwą, płynącą w tysiącach meandrów ciemną wodą po torfiastych łąkach. Dudnimy wysokim mostem nad Niemnem, gdzie w malowniczym położeniu rozsiadło się Grodno i używa sportów wodnych. Lasy, łąki, pola uprawne, znów łąki i lasy, dość równo, monotonnie... A gdzież będzie ta malownicza Wileńszczyzna ze swymi „wzgórzami i lasami"?

Nie patrzę na twarze koleżanek, ale czuję, że się wydłużają regularnie. I moja okrągła facies wydłuża się coraz bardziej. Co to będzie? Pociąg nie cierpi na przepełnienie, więc konduktor, jadący po raz sto pierwszy tą drogą, skraca sobie czas opowiadając nam o Wilnie, gdzie ma rodzinę i o stacjach po drodze. Tu jesteśmy zaledwie o parę kilometrów od granicy litewskiej. Stacja w lesie i wśród lasów, idzie tędy przemyt, zwłaszcza tytoniu i sacharyny z Litwy do Polski. Czemu akurat te produkty są przemycane, nie możemy spenetrować. W lasach widać uwijający się K. O. P. Na stacyjce wsiada parę jakichś ciemnych indywiduów. Może oni też mają sacharynę?

Aż oto — jakieś 40—50 km. od Wilna czuję nagły skrót twarzy! Pagórki, lasy, cudowne widoki, ciągle inne, jakieś niespodziewane falowania, urocze doliny, tafle jezior. Oblepiłyśmy okna, jak muchy słodki plaster.

— Och! Ach! widzisz! patrz!

Znikło gdzieś zmęczenie wielogodzinną jazdą, upałem, pragnieniem. Pijemy rozkosz krajobrazów.

Co? już Wilno? Nawet elegantka Ewa zapomniała „faire la toilette" przed miastem. Toboły na plecy, marsz!

Znalazł się jakiś kuzyn, poprowadzi na początek. Nagle — przy rogu ulicy jakaś arcydziwna figura w białym, płóciennym ubraniu pochyla ku nam głowę o jasno-niebieskich oczach i z wyżyn 2-metrowych prosi o spis uczestniczek wycieczki dla Orbisu.

— Prowadzimy ewidencję wszystkich wycieczek do Wilna. —

Jeszcze tego brakowało — a co Orbisowi do nas?

— Przepraszam Pana, nie mamy spisów dla Orbisu. —

Longinus uśmiecha się cierpliwie.

— To nic, zgłoszę się jutro.

Zgłaszaj się bratku — i szukaj wiatra w polu! Nasz kuzyn prowadzi przedziwnie. Ułożyłam sobie jeszcze w W., że od dworca na ul. Wielką, gdzie mamy locum, pójdziemy ul. Kolejową, a potem Ostrobramską przez Ostrą Bramę, a tymczasem kręcimy koło śmierdzących cebulą i koprem hal tar-

gowych, przez jakiś zaułek koński (sic!), przez ulice wąskie, fabryczne, zażydzone.

Pierwsze wrażenie smętne. To Wilno bynajmniej nie jest reprezentacyjne.

Wchodzimy na Wielką koło barokowego kościoła jezuitów, mijamy stary ratusz o klasycystycznych cechach, z fasadą o sześciu doryckich kolumnach; mieszkamy przy placu ratuszowym. Ulica schodzi w dół, krążą autobusy (niby — tramwaje wileńskie), ruch, gwar sobotniego popołudnia, ale publiczność tu dość średnia, w stylu „Pana Franciszka z Panną Maniusią z Saskiej Kępy", tylko że zaciągają i śpiewają przedziwnie.

Po zażyciu niebywałych ilości wody „zewnętrznie" i „wewnętrznie" robimy wypad: idziemy Wielką i Zamkową, mijamy parę cerkiewek i Cielętnik, (w przewodniku stoi tu: Ogród zamkowy, ale zacni wilnianie mówią poprostu: Cielętnik — nie wiem dlaczego). Mijamy katedrę, obłożoną rusztowaniami, jak bolące zęby kompresami, tak, że cała piękność ginie pod deskami i belkami. Prowadzi nas tym razem Ewa: zapamiętała z przewodnika, że „ulica Mickiewicza, to najokazalsza z ulic wileńskich", więc ciągnie wilka do lasu.

Zobaczymy, jak wygląda ta okazałość w sobotni wieczór. Rzeczywiście, ulica ładna, szeroka, wysadzana drzewami, domy w stylu XX wieku, od r. 1900 do 1936, ogólne wrażenie miłe, oświetlone magazyny (Ewę fascynują zwłaszcza „Bracia Jabłkowscy"), banki, kawiarnie, jest i... Orbis. Mimo wakacji, trochę wilnian zostało i tu już towarzystwo jest lepsze: przystojne kresowe twarze pań i „Mickiewicze" w letnich garniturach.... a śpiewają ci wilnianie...



Wilno — Ratusz.

Wsłuchujemy się w te akcenty z nagłym wzruszeniem. Wilno Mickiewiczów, Słowackich, Promienistych, Wilno Sierakowskiego i towarzyszy, co tu zawiśli na placu Łukiskim, przy końcu ulicy Mickiewicza. Wilno kresowe, bohaterskie, a kochające Macierz...

———

Nazajutrz nie trzeba nas budzić: śpieszno nam wyjrzeć, jaka pogoda, śpieszno zdzierać buty na wileńskich kocich łbach i trotuarach (à propos: szereg ulic ma już europejski asfalt i kostkę, a dorożki mają już wszystkie wspaniałe gumowe koła, jak u samochodów; co prawda, koła te są nieco — na zapas — bo dużo ulic ma zabójcze kocie łby — chyba z czasów Jagiełły...)

Jesteśmy w Ostrej Bramie na jednej z wczesnych Mszy św. Stoimy na ulicy, obok nas przechodzą ludzie; wszyscy, nawet Żydzi głowy odkrywają, milkną i idą dalej, lub zostają z nami. Dziwnie nie przeszkadza tutaj ten ruch uliczny nabożeństwu, bo tam, wysoko ciemna twarz Madonny w obramieniu złoceń ma taką siłę wyrazu w pochyleniu głowy, w spuszczonych oczach, w założeniu rąk. Ministrant na górze, w kapliczce rozsuwa wciąż wiernych, co tam poszli, by z dołu widoczny był dobrze ołtarz, przy którym księża odprawiają jedną po drugiej Msze św. od 6-ej do 12-ej. Dziwny obraz, — budzi w duszy uczucia silne, nie jakiś mdławy sentymentalizm. Gdzie indziej — idzie się do Boga gdzieś, w kaplice, w odludne izdebki swej duszy, a tu Bóg sam stanął w poprzek życia i spraw ludzkich — jest w nich.

Po śniadaniu wymarsz: wywiad idzie do przystani zapytać o statek do Werek, bo trze-



Na ulicy przed Ostrą Bramą. Fot. PAT.

ba łapać pogodę póki jest — samo Wilno można zwiedzać i w deszcz; my ruszamy najpierw w najbliższe ghetto żydowskie. Uliczki wąskie, z podporowymi arkadami co jakiś czas, a potem...

Nagle, z za rogu zaułka, jak deus ex machina zjawia się nasz wczorajszy Longinus (inaczej: Laskonogi).

— Panie zwiedzają miasto, właśnie mam trochę czasu, chętnie coś pokażę.

Wobec naszego wczoraszego dictum acerbum robi się nam trochę niewyraźnie, ale Longinus z dobrotliwym uśmiechem nie czeka na odpowiedź, pokazuje.

Te wieże na rogach zaułków to resztki dawnych bram, którymi zamykano na całą noc dzielnicę żydowską, by Żydzi nie chodzili po mieście i by nie było z tego powodu jakichś scysji. W wieżach tych stróżowali wartownicy.

Jakaś inteligentnie wyglądająca jejmość o „wybitnych rysach" słucha tych wyjaśnień razem z nami — i uśmiecha się błogo, że to już minęło...

O parę kroków dalej jesteśmy już przy uniwersytecie.

— To główne gmachy uniwersytetu. Dziedziniec Piotra Skargi. Loggie na wzór uniwersytetu bolońskiego, z którym nasz był w bliskich stosunkach. Rosjanie loggie te, dawniej 2-piętrowe, zamurowali, ale jedno piętro jest dziś znów odmurowane. — Mimo niedzieli, na magiczne skinienie Longinusa zjawiają się klucze od drzwi, wchodzimy do wnętrza. Idziemy t. zw. królewskimi schodami: jest to równia pochyła, zamiast schodów, rzadki dziś zabytek. Mijamy tablicę Batorego, założyciela uniwersytetu, czytamy dekret Marszałka Piłsudskiego, wskrzesiciela uniwersytetu. Na prawo klasyczna aula kolumnowa, ładna sala o szeregu białych kolumn i lamp; w górze miejsce dla braci studenckiej, co się tu pewno tłoczy gadatna i bujna. Na dole portrety Batorego i Marszałka Piłsudskie-



Wilno. Ghetto żydowskie.
Fot. Danka Filipiakówna

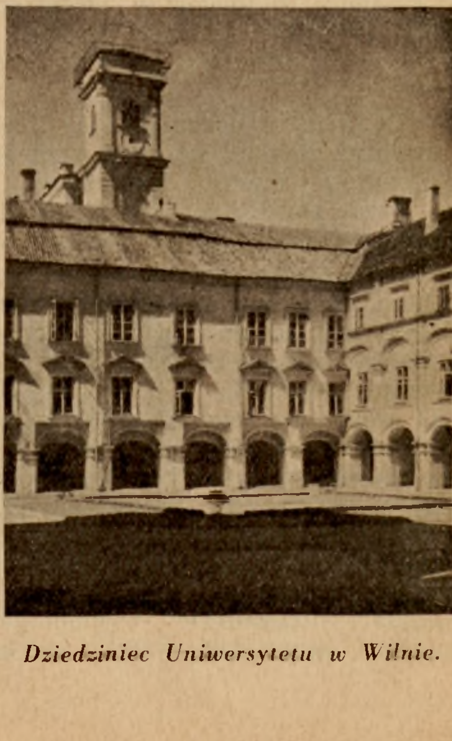
ze skarpami przy ścianie domu. Tymczasem w kościele akademickim św. Jana, którego fronton wychodzi na dziedziniec Skargi, już po nabożeństwie. Wchodzimy. Białe wnętrze o jasnych kolumnach, w ścianach pomniki Mickiewicza, Odyńca, Syrokomli; w górze, wysoko, organy z popiersiem Moniuszki: był on tu organistą, poza nabożeństwami przychodził na chór często i na długo i tu podobno powstała „Halka". W kościele 2 ambony: odbywały się tu dawniej dysputy akademickie z teologii, wedle jezuickiego obyczaju. Ołtarz główny — przedziwny, a raczej, to dziesięć ołtarzy splecionych w jakąś monumentalną, śmiałą, może zbyt śmiałą całość. Podobno projektodawcą był artysta-wariat, tak szalonym jest ten pomysł.

Wracamy na ulicę. Longinus żegna nas: musi być na dworcu przy przyjeździe pociągu, ale już zdołał wciągnąć nas w — orbitę Orbisu, już zamówiłyśmy przez Orbis autobus do Trok, zamówiłyśmy też przewodnika. Nie ma co — studiowałyśmy wprawdzie prze-

go i stolik: podpisano na nim kiedyś trzeci rozbiór Polski, a teraz — akt wcielenia Wilna do Polski.

Na lewo — sala Śniadeckich. Stoi tu jeszcze katedra Śniadeckiego z emblematami: cyrkiel, globus itd. Przemawiają z niej dzisiaj studenci na wiecach, które się w tej sali, jako największej, odbywają. Za czasów rosyjskich była tu cerkiew gimnazjalna, bo gmachy uniwersytetu, wśród innych kolei losów, służyły czas jakiś rosyjskiemu gimnazjum. Do tego gimnazjum uczęszczał jako uczeń Marszałek Piłsudski.

Na każdym kroku chwyta cię coś za serce. W dziedzińcu statua Matki Boskiej, dawna uniwersytecka, przez Rosjan zdjęta, na rozkaz Marszałka wróciła na dawne miejsce. Za dziedzińcem Skargi dziedziniec Poczobuta z małym obserwatorium astronomicznym, ze znakami zodjaku na ścianie; mijamy też dziedziniec Sarbiewskiego



Dziedziniec Uniwersytetu w Wilnie.

PO ZŁOTYM LECIE...

Po złotym lecie
i dniach uniesień,
znowu na świecie
króluje jesień:

powiędły kwiaty!
z ostatkiem pieśni
pomknęli w światy
śpiewacy leśni, —

a tylko liście
swoją czerwienią,
coraz ogniściej
w sadku się mienią.

i ponad czarną,
zoraną glebą
chmury się garną
pod same niebo!...

E. Kłoniecki.

---

wodnik, ale jeżeli ten żywy człowiek będzie mówił tak cudownie, jak Longinus, to — warto się wykosztować. (50 gr. dziennie od osoby.) Dowiedziawszy się w międzyczasie, że Longinus skończył tu historię sztuki, że już jako uczeń gimnazjum oprowadzał po Wilnie... siedział co prawda po dwa lata w klasie, ale równocześnie z gimnazjum chodził jako wolny słuchacz na historię sztuki i, gdy zdał maturę, zaliczono mu to. Czuje się w nim miłośnika i znawcę Wilna. Teraz pracuje w Orbisie, w oddziale turystycznym.

Rendez-vous z wywiadem z przystani: po obiedzie ruszymy do Werek.

A teraz — idziemy na Rossię.

Przed czarną, marmurową taflą, z krótkim, wymownym napisem: „Matka i serce syna" stoimy ze czcią. Jak to dobrze, że ludzie nie pomniejszyli wielkości tych dwu serc niepotrzebną frazeologią. Obok grobowca stoją na baczność żołnierze; naokoło kwiaty, pełno świeżych kwiatów, które żołnierze wstawiają do wody, by Mu kwitły dłużej. Po obu stronach rzędy białych, prostych nagrobków z nazwiskami tych, co w obronie Wilna polegli. Dobrze im przy sercu Wodza. Niech odpoczywają.



Grobowiec na Rossie.
Fot. Danka Filipiakówna

Cmentarz: zieleń bujna, rozrzutna, rozświergotana, na wzgórzach i dolinkach setki grobów starych i nowych, najnowszych. Stoję przy trzech grobach: przez krzyż przechodzą śmigła — śmiałe — proste. Napisy: zginął śmiercią lotnika lat 21, 22... Czy duchem był równie wysoko, jak śmigłem?

Na Rossie leżą: Lelewel, Syrokomla, Euzebjusz Słowacki, prof. Bem, Korzeniowski, ale jak ich tu odnaleźć wśród tysięcy innych? Zresztą — musimy wracać do koniecznej prozy życia — na obiad.

Wracamy pod urokiem — i pod wrażeniem. Mijamy kościół wizytek, zeszpecony przez Rosjan kopułą i kościół misjonarzy: barok o strzelistych wieżach z rekordowym zakończeniem, taki charkterystyczny dla Wilna, taki tu ładny. Wogóle nie lubię baroku, a nie cierpię rokoko, ale dla tych stylów w Wilnie robię wyjątek.

Chołodziec litewski i pieczeń znikają; nie liczymy, ile która zjadła, bo to niebezpiecznie wobec dzisiejszych wymagań linii. Przybijamy w butach gwoździe, co zawsze nie w porę podczas wycieczki wyłażą — marsz znowu via Cielętnik do przystani.

I. S.

Moi przyjaciele

Żółta, nakrapiana kulka trzepnęła skrzydełkami i popatrzyła na mnie czarnymi, błyszczącymi ślepkami.

„Kanarek!" Takiego podarunku się nie spodziewałam. Rodzice stali też koło klatki i z radością obserwowali ruchy ptaka.

Nigdy jeszcze nie mieliśmy żywych stworzeń w domu, kanarek, Kuba — był pierwszym. Oswoił się dość szybko i po paru miesiącach już nic nas się nie obawiał. Łaził podczas obiadu między talerzami, razem z nami jadł ziemniaki i skubał kapustę. Pamiętam — gdy czytałam, leżąc na kanapie, przyszedł do mnie i, usiadłszy na książce, jął skubać kartki.

Kochany to był ptaszek! Niestety, zachorował na skrzydełko i zdechł.

Ano, przynieśli nam drugiego. Był to młody i strasznie głupi kanarek. O byle co zaczynał rozpaczać i rzucać się po klatce. W pierwszych dniach nie pozwolił nikomu zbliżyć się do siebie. Zaraz piórka mu stawały na głowie i zaczynał koncert: — Anu! Aj! — Mały, niemądry beksa.

I ten długo u nas miejsca nie zagrzał. Zaczął bowiem chorować na nogi. Codziennie prawie dostawał biedak jakichś ataków reumatycznych (czy ja wiem zresztą, co to było). Jęczał, przewracał się, udawał zdychającego, czy też naprawdę zdychał...

Dość nam było tego, toteż oddaliśmy go kanarczarzowi. Podobnoć, gdy Kuba znalazł się w towarzystwie innych ptaków, szybko wyzdrowiał.

O Maćku I nie mam wiele do powiedzenia. Był wypożyczony tylko na jeden dzień. Ślicznie wprawdzie śpiewał, ale, że był starszawy i zatłuszczony, nie chcieliśmy go zatrzymać.

No, i teraz właśnie przyszedł Kuba III, który należy po dziś dzień do naszej rodziny. Może komuś wydawać się dziwnym, że ptaka już prawie zaliczamy do rodziny, ale...

Kubuś to naprawdę kochany ptaszek. Cały żółciutki (przysłowiowo, jak kanarek), tylko czarne oczka zabawnie mu błyszczą. Przykro to pisać, ale bardzo często trudno rozpoznać, jakiego koloru właściwie jest jego ogonek. Brudny! Jak ścierka od podłogi! Wywala to się po kominach, po ziemi, a przyznać trzeba, że nie ma zbyt wielkiego nabożeństwa do kąpieli.

Inna wada: łasun, obrzydliwy łasun. Ot, ja biedna dostanę trochę truskawek po obiedzie. Wyjdę z pokoju na chwileczkę,... wracam,... a Kuba mojemi truskawkami się objada! To niesłychane!

Kubuś niby jest mój, ale... naprawdę, to on jest tatusiowy. On tatusia najbardziej lubi, a tatuś jego — bardzo!

— Kuba! — Oho, już Kuba siedzi na głowie, na twarzy, całuje w usta, szarpie za wąsy, śpiewa...

Kuba jest więcej oswojony od Maćka i Kajtusia. Nic dziwnego. On jest u nas już dwa lata, a Maciek dopiero parę miesięcy. Kajtuś przyleciał parę tygodni temu.

Maciek i Kajtuś, to babci kanarki. Maciek to młody, o ciemnym upierzeniu ptaszek. Ale bestia zła!... trzymałam Kajtka w ręce i całowałam go w główkę. Teraz chcę go znów włożyć do klatki. Już prawie przesuwam go przez drzwiczki, wtem Maciek, który przy nich czatował, rzuca się na Kajtka i wyrywa mu pęk piórek ze łba! Niegodziwiec wiedział, którędy będę przesuwać biednego kolegę.

Najdziwniejszym sposobem dostał się do nas Kajtek. Biedactwo przyleciało skądś i wpadło do nas przez okno. Lidka mi już zazdrości: „Ja także muszę trzymać otwarte okno, może mi jaki ptak przyleci... Ee, zawsze mam pecha!"

Lidka też ma kanarka — Maćka.

Kuba to chyba w czepku z jajka się wykluł. Bo nie może już być mu lepiej, niż u nas. Rano Tatuś zaraz go przynosi do pokoju, gdzie zaczyna mi wyśpiewywać. Potem zeskakuje na dół, by się trochę pożywić. Ale ja już idę do szkoły; tymczasem Mamusia czyści klatkę, daje pożywienie, wodę, basen do kąpieli i t. d. Około południa Kubę wypuszczają, zaczyna więc brykać po wszystkich pokojach. Jednego tylko unika... babcinego! Boi się, ciapa, Kajtka i Maćka, gdyż raz go porządnie zbili. Ciapa z niego, powtarzam: najstarszy, a obronić się nie umie i pozwala wyrywać sobie piórka ze łba.

Podczas obiadu Kuba nam towarzyszy. Albo razem z nami zajada maczek z osobnego talerzyka, albo też obserwuje z klamki swoich wychowawców.

Po południu znów lata i — teraz dopiero kłopot. Urwis nie zawsze ma ochotę wejść na noc do klatki. Ile już razy usiłował przenocować na karniszu! Nic z tego! Nielitościwa mamusia przystawia drabinę i zdejmuje nieposłusznego ptaka wśród ciemności nocnych i wrzasku znagła pojmanego, któremu zapewne zdaje się, że już... już... kot go uśmierca.

Oj, byłoż to z tym lataniem. Cztery razy Kuba nam — uciekł. Niedaleko, na szczęście, bo tylko na parapet okienny. No i zawsze, poczciwiec, wrócił na prośby do mieszkania.

Na wakacje musimy oddawać całą trójkę do kanarczarza na „pensję". Biedne ptaszki! Napewno nie jest im tam tak dobrze, jak u nas.

Jak hodować kanarki? Temat ten został już wszechstronnie opracowany przez moją sąsiadkę, Lidkę, jeszcze w ubiegłym roku. To też ja nie próbuję współzawodniczyć z autorką tego potężnego dzieła, podam jedynie kilka uwag, tyczących się tego zagadnienia.

Klatka winna być metalowa, gdyż w takiej najbardziej gnieżdżą się kleszcze, te niebezpieczne pasorzyty. Pręciki jednak należy sprawić drewniane i to najlepiej lipowe. Trzeba dbać, by nie były one wyślizgane, bo wówczas ptaszek nie może się utrzymać na drążku i spada.

Rozumie się, że najlepsze dla kanarków są duże klatki, w których więzione stworzenie może dowoli się wyskakać. Niektóre kanarki lubią też huśtawkę, ale nie wszystkim ta zabawa odpowiada.

Dno klatki winno być posypane świeżym, sypkim piaskiem, jak najczęściej zmienianym.

Pożywienie naszego Kuby składa się z ziarnek, jak np. rzepaku, prosa i t. p. Kanarek dostaje i „pikantne" potrawy, jak marchewki, truskawki i inne owoce.

Woda, jak już zaznaczyłam, powinna być codziennie zmieniana. Nie należy ptaka zmuszać do kąpieli, gdyż czasami mogłoby mu to zaszkodzić i spowodować przeziębienie.

Tak, tak! Trzeba się opiekować ptaszkami: to nasi kochani, bardzo kochani przyjaciele!

Kraków. I. K., kl. VII. gim. 440.

WSPOMNIENIE

Tysiące blasków i promieni,
daleki zapach sianokosów,
srebrny szept rzeki i pokorny,
głęboki ukłon ciężkich kłosów.

Aromat lasu i żywicy,
naręcze kwiatów jak motyle,
i ptaków chóry, blaski tęczy,
i cudne, słodkie szczęścia chwile

minęły, więcej nie powrócą,
wnet czasu je przesłonią cienie
i po czarownych dniach, jak z bajki,
zostanie tylko... gdzieś... wspomnienie...

Krystyna Korewicka,
kl. VIII.

Fragmenty z wycieczki do Szwecji

Szwecja, to kraina błękitnych jezior i kanałów, wspaniałych dróg i jedynych na świecie czerwonych domków z białymi okiennicami. To są cechy



Sztokholm — Magistrat.

Szwecji, które pierwsze rzucają się w oczy, potem dopiero zauważa się wspaniałe uprzemysłowienie miast, duże tempo w rozbudowie placów i osiedli, panujący wszędzie dobrobyt.

Stolica Szwecji Sztokholm, oblana ze wszystkich stron wodą, ma położenie bardzo malownicze. Jest to miasto ciekawe, gdzie nowoczesny styl gmachów użyteczności publicznej miesza się, a nawet harmonizuje ze starodawnymi budowlami z przed wieków. Harmonizuje się może dlatego, że ten skandynawski gotyk, w jakim jest budowane Nordiska Museet i szereg kościołów ma mniej strzelistą linię od gotyku niemieckiego czy nawet nadwiślańskiego. Nie mam zamiaru opisywać ogromnych budowli, jak Stadshuset, magistrat, muzea. Zwrócę uwagę na jedno: Sztokholm trzeba poznawać chodząc pieszo, błąkając się po starych uliczkach, zwiedzając parki, podziwiając wspaniałe konstrukcje mostów. Jest jedna rzecz, która pozwala w stolicy poznać nie tylko to miasto, ale i całą Szwecję. Jest to Skansen, piękny park, a zarazem żywe muzeum, gdzie przeniesione są dawne zagrody wiejskie z ludźmi w ich dawnych strojach oraz okazy regionalnej fauny i flory.

Cała Szwecja w miniaturze...

Podmiejskie okolice Sztokholmu nadają się znakomicie na week-end'y. Prześliczne na południowy wschód od miasta położone Saltsjöbaden kąpie się w morzu i słońcu.

Na zachód od miasta znajduje się dawna letnia rezydencja królewska, zbudowana na wzór Wersalu, t. zw. Drottningholm, dziś zamieniona na muzeum. Na ścianach w Drottningholm wiszą ogromne malowidła przedstawiające wojny polsko-szwedzkie za Jana Kazimierza, między innymi moment zwycięstwa Czarnieckiego. Nie wiem, jak tłumaczą Szwedzi te fakty, w każdym razie dziwić się należy, że umieszczają te nie zawsze pochlebne dla siebie pamiątki w miejscu przeznaczonym do zwiedzania. Obok Drottningholmu znajduje się jedyne w Szwecji muzeum teatru z całym urządzeniem z przed 200 lat.

Drugim po Sztokholmie dużym miastem Szwecji jest Göteborg, bardziej ruchliwy i bardziej uprzemysłowiony, niż stolica; Göteborg jest równocześnie dzięki swemu położeniu, najważniejszym portem Szwecji.



Sztokholm — Pałac królewski.

Inny zupełnie charakter posiada leżąca na północ od Sztokholmu Uppsala, osiedle uniwersyteckie, gdzie gros budynków posiada styl gotycki, przypominając ogólnym charakterem Kraków.

Co do samych Szwedów, w czasie mej krótkiej wycieczki zdobyłam o nich garść spostrzeżeń. Szwedzi są piękną, zdrową rasą; są to blondyni, wysokiego wzrostu, przytem chłodny klimat długo konserwuje młodość. Są naogół uprzejmi i małomówni.



Sztokholm — Pałac rycerski.

Warstwa średnio zamożna mieszka na peryferiach miasta w willach wśród zieleni. Wieczorem każdy szanujący się Szwed wkłada frak, cylinder, przypina wszystkie ordery i idzie z rodziną spożyć kolację w jednej z większych restauracyj. W ogóle snobizm i ambicja duże. Rodziny posiadające tytuły i herby, mają swój pałac, rodzaj muzeum, Riddarsholm, w którym przechowywane są dokumenty każdego członka rodziny. Dokumenty te sięgają nieraz XII wieku.

Miłe wrażenie robią Szwedki: jasne blondynki, wesoło roześmiane, wysportowane, wychowanie ich byłoby w naszym pojęciu dość liberalnym. Jest ono bliskim naturze. Często widzi się Szwedki prowadzące auto (w Szwecji mało jest w ogóle dorożek konnych, za to aut dużo), ale nie widać ich prawie w restauracjach i cukierniach, ani u fryzjerów.

Jeszcze jedna obserwacja, którą można podchwycić szybko: duże są wpływy niemieckie i angielskie (mały obrazek: co drugi policjant włada którymś z tych języków); zwłaszcza wpływ kultury angielskiej silnie się zaznacza.

Z. J.

Nasza świetlica

Świetlice ubiegłego roku w rybnickim gimnazjum odbywały się zawsze b. przyjemnie i przy dużym udziale uczestniczek. Zainteresowanie dziewczynek w tym kierunku jeszcze bardziej wzrosło od czasu, kiedy dwie nowe imprezy dopełniły jej programu. Imprezy te nosiły nazwy: „Sztuka" i „Turniej Wymowy". Pierwsze było to wyświetlanie dzieł sztuki słynnych malarzy czy rzeźbiarzy ojczystych, przy równoczesnym objaśnianiu charakterystycznych cech ich dzieł i krótkim życiorysie,a drugie: „Turniej Wymowy" — to przemowy słynnych ludzi, wygłaszane przez dziewczynki. Różne to były mowy: mowa Milcjadesa, Cezara, Napoleona, Matejki — po proroczym śnie, poprzedzającym namalowanie Grunwaldu, mowa negusa, republikanina, monarchisty, wreszcie pokojowa mowa w Lidze Narodów.

Po mowie wywiązywała się ożywiona dyskusja nad czterema głównymi punktami: treścią, stylem, sposobem wygłoszenia i mimiką. Następnie „Sąd czterech", złożony z przedstawicielek wyższych klas orzekał wynik. Za każdy z czterech punktów dostawało się + (plus), względnie — (minus). Klasa, której przyznano najwięcej punktów, zwyciężała!

Anka Saryusz-Stokowska, kl. III
gimn. Rybnik.

Parę słów ze Lwowa i o Lwowie!

W ostatnich paru dniach przeżywałam dużo, dużo wrażeń. Szczęście, że to dość bezpośrednio po wakacjach, bo to taka wielka zmiana przejść od rozbawionych wybrzeży i gór do żmudnej i ciężkiej pracy, to też bardzo były nam (przemiłej braci szkolnej) drogie te urozmaicenia ostatnich dni, mogłyśmy, nie przeszkadzając sobie w nauce, wytchnąć po niej i przedłużyć swobodne myśli z wakacji.

Ale dość tych głupstw, trzeba zacząć od początku. Już od pierwszego rzutu oka musiało się zauważyć, że miasto przybrało wygląd niecodzienny. Wszystkie (zresztą — prawie wszystkie) ulice — nieszczęśliwie męczone przez lato, są skończone, jedzie się po nich bajecznie, poza tym na słupach sieci tramwajowej wiszą koszyczki z kwiatami i t. d. Ale nie koniec na tym, ciągle dostaję telefon: „Baśka! wycieczka przyjechała, oprowadź ją po mieście" — i zależnie od czasu, oprowadzam lub nie. Rzeczywiście w tym okresie wycieczek było moc, przeważnie szkolne, lub wiejskie. Nic zresztą dziwnego, Lwów w swej jesiennej szacie, jest godny widoku — a zresztą Targi!

Właśnie — te Targi — chcę im poświęcić parę słów. Zachęcona pochwałami mniej lub więcej wiarogodnych osób — idę — naturalnie nie sama, bo najlepiej się ogląda (i „nabija") — na przykład — z wesołą koleżanką.

Jesteśmy w doskonałych humorach, mamy zamiar bawić się doskonale. Już przy wejściu postanawiamy kupić sobie jakąś małą pamiątkę, idziemy więc do garaży, oglądać auta — było dużo kłopotu z tym — bo każdej inne się podobało, i już chcemy wyrównać rachunek, ale — zabrakło nam paru groszy. Poszłyśmy więc pocieszyć się lampką miodu na pomyślność naszych marzeń (co to mogło być? — matura lub inne głupstwo). Teraz zbliżamy się do stolika, otoczonego masą ciekawych twarzy. Cóż tam się dzieje? To doskonały karykaturzysta na poczekaniu szkicuje świetne karykatury — z których liczne zgromadzenie pęka ze śmiechu. „Możemy iść dalej", mówię do sąsiadki. „Tobie i tak niepotrzebna karykatura, masz naturalną". Widzę, jak zielenieje i zaprzysięga mi zemstę.

Zwiedzamy obecnie ten duży pawilon, gdzie maskotki, perfumy, klej do łat czyli (cerowanie bez igły), tarka do wszystkich jarzyn, ale naszą uwagę zwrócił przemiły Chińczyk. Wdaję się z nim w szczegóły — (zbyteczne zresztą): „Pan może z Pekinu? — „Tak, tak, 2 zł, sztuka jedna 2 zł. — Hanka uszczęśliwiona, ja zaś przestaję prób porozumienia międzykontynentalnego, bo widzę, że biedny Chińczyk umie tylko jedno zdanie po „naszemu".

Więc Targi skończyłyśmy, ale i mnie wypada to gawędzenie finiszować — muszę jednak wspomnieć o cudownej defiladzie wojsk. Nie mówię o tym z powodu „hurra — wolne", ale dlatego, że dzień ten zostawił niezatarte wspomnienia. Stałam wtedy zachwycona i oniemiała (byłam też z Hanką) z wrażenia; każdy oddział policzyłam w sercu. — To nasi! To polskie wojsko — ilu ich było! Szli, szli, bez końca, a jacy roześmiani, świadomi znaczenia i potęgi, rozsyłali radosne uśmiechy wszędzie. Byłam tak wzruszona, że — (zapomniałam, że jestem już duża) nie mając kwiatów, rzucałam im cukierki. Efektownym zakończeniem przemarszu armii był lot przeszło 100 samolotów w udanym szyku. Serce rosło w miarę mijania licznych szeregów — nasza obrona, siła, nadzieja! Nie zapomnę nigdy tego wspaniałego — słonecznego dnia, który mnie nauczył przynależności do wielkiego, potężnego, przepięknego kraju, Drogiej Naszej Polski.

Baśka Mniszkówna.

Biskupin — prasłowiańska osada bagienna z przed 2500 lat!

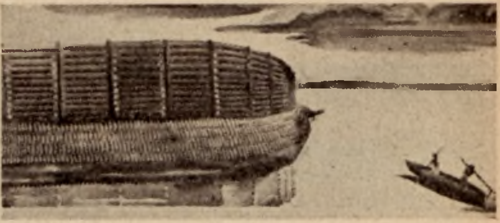
Od dwóch lat ściąga Biskupin — mała miejscowość powiatu żnińskiego, wojew. poznańskiego — coraz liczniejszych gości z kraju i z zagranicy. Przyjeżdżają oglądać częściowo już odkopaną osadę obronną prasłowian kultury łużyckiej. Z podziwem i zachwytem wyrażają się uczeni o tym jedynym w swym rodzaju rezerwacie prehistorycznym — odsłaniającym ciekawe konstrukcje obronne, sposoby umocnienia brzegów pierwotnych mieszkańców. Licznie znajdywane przedmioty ukazują w nowym świetle życie i zajęcia przodków naszych, obalając nieraz tendencyjnie przez naszych sąsiadów rozpowszechniane mylne wiadomości.



Widok półwyspu z lotu ptaka w czasie rozkopywania w 1935 r.

Gród ten warowny, pochodzący z epoki żelaznej (około 500—700 lat przed Chr.) zbudowany jest na torfowisku głęboko w jezioro wrzynającego się półwyspu. Do obrania tego dla zdrowia tak nieodpowiedniego miejsca skłoniły pierwotnych jego mieszkańców zapewne napady wrogich im plemion bałtyckich. Stan wody na jeziorze musiał być wtedy znacznie niższy. Dopiero później, wskutek zmian klimatycznych i związanym z nimi wzrostem opadów, zaczął się podnosić, tak, że woda podchodziła pod podłogi. Przez jakiś czas broniono się, podwyższając je i ulice — ale wreszcie trzeba było gród opuścić. Dziś trzeba go odkopywać z pod wartswy mułu i piasku, podczas gdy część wału ochronnnego i falochronu jest jeszcze pod wodą.

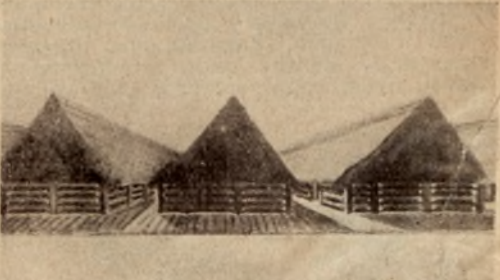
Dotychczas odkopany teren nie pozwala jeszcze na rekonstrukcję całego planu tego wspaniałego grodu. Widać jednak, że był on otoczony dookoła wałem ochronnym z grubych bierwion dębowych zbudowanym, a wypełnionym ubitą ziemią. Niszczeniu brzegów przez wody jeziora przeszkadzał potężny falochron, złożony z kilku rzędów ukośnie w brzeg jeziora



Falochron i wał obronny od strony jeziora.

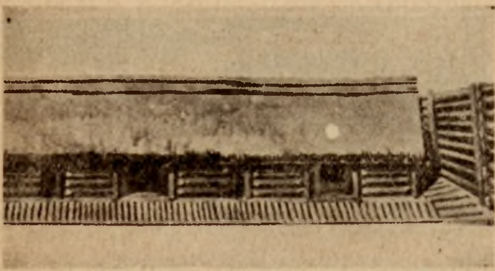
wbitych pali, które przytrzymywały poziomo ułożone belki.

Przestrzeń, otoczona wałem, podzielona była ulicami równolegle biegnącymi. Łączyła je idąca od wewnętrznej strony wału ulica okrężna. Ulice były zbudowane w ten sposób, że na spoczywających bezpośrednio na bagnie podwalinach kładziono poprzecznie bierwiona, podobnie do naszych podkładów kolejowych i przykrywano je gliną. Szerokość ulic wynosiła 1.50 m do 2,30 m. Wzdłuż nich stały domy, stykając się dachami ze sobą. Pod względem wielkości nie ustępują naszym chatom. Składały się przeważnie z przedsionka i izby głównej z ogniskiem, rzadko znajdujemy domy dwuizbowe. Ponieważ było tylko jedno wejście od strony południowej, trzeba było dojść do okrężnej ulicy, chcąc się dostać na następną. Drzwi domów uderzają nas swoją szerokością, sięgającą dwóch metrów, widocznie służyły zarazem jako źródło światła. Podłogę stanowiły pale dębowe, ułożone jeden obok drugiego, przykryte warstwą gliny. Ścia-



Widok rzędów domów od strony ulicy okrężnej.

ny budowano w ten sposób, że na czterech rogach domu wkopywano t. zw. łątki — słupy ze żłobami prostopadle biegnącymi. W zagłębienia wpuszczano „sumiki", to zn. belki dębowe. Ten sposób budowania ścian zachował się do dzisiejszych czasów. Ponieważ wody jeziora nie dosięgnęły dachów domów, nie zachowały się one. Nie

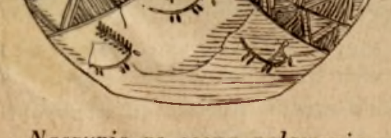


Ulica poprzeczna z rzędem domów, część ulicy okrężnej i wału ochronnego.

wiemy więc, jakiej wysokości były chaty, ani jakiego rodzaju dachami pokryte były. Liczne ślady przebudowań domów, poosmalane belki świadczą, że często nawiedzały mieszkańców pożary, a 30—50 cm nad sobą znajdujące się ogniska, przedzielone warstwą ziemi i podwójne podłogi zdradzają przenikanie wody gruntowej na skutek podnoszenia się poziomu wody w jeziorze.

Bardzo planowe, celowe założenie osady, sposób wyzyskania miejsca, wały ochronne, falochrony wskazują na dużą organizację pracy u mieszkańców i na silną władzę, która kierowała wysiłkiem wszystkich i znajdywała posłuch.

Licznie odnajdywane narzędzia rolnicze: motyki rogowe, sierpy żelazne oraz ziarna pszenicy, prosa i jęczmienia pozwalają wnioskować, że rolnictwo stanowiło główne zajęcie mieszkańców tej osady. W obrębie zagrody czekała mężczyzn praca kołodziejska, sporządzanie narzędzi z kości i rogu. Zajmowali się także odlewnictwem w bronzie. Zagadką jest, dlaczego zajmowano się tak mało rybołówstwem. Wśród kości znajdywanych, które nieraz

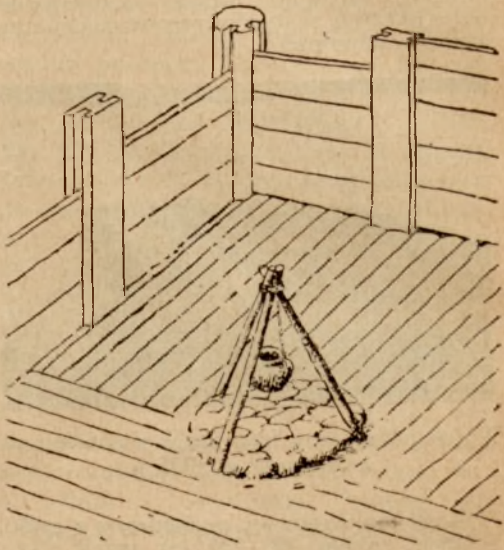


Naczynie ze sceną polowania

noszą na sobie ślady zębów psich — odnajdujemy części szkieletów naszych zwierząt domowych: konia, krowy, owcy, świni, kozy. Tylko dodatkowo zajmowali się mężczyźni myśliwstwem, mając bory pełne zwierza: jeleni, zajęcy, — ale i niedźwiedzi, wilków, rysi, żbików, dzikich świń a nad jeziorem wydrę i żółwia błotnego.

Kobiety przędły len, tkały, zajmowały się dziećmi. Znaleziono nawet i zabawki w postaci grzechotki, figurek ptaszków, baranka.

Bardzo ciekawie przedstawia się ceramika biskupińskiej osady. Obok naczyń zwyczajnych, służących do codziennego użytku, znajdujemy naczynia artystycznie zdobione, inkrustowane białą masą, a na-



Schemat konstrukcji ścian.

wet przedstawiające sceny z polowania na jelenie na koniach. Sposób ornamentacji świadczy o dość wysokim poczuciu estetycznym pierwotnych artystów. W domach i na ulicach osad znaleziono przez mieszkańców widocznie pogubione liczne ozdoby w postaci przewierconych kłów zwierzęcych, szpilek i bransolety bronzowe, naszyjniki oraz szklanne paciorki. Między ostatnimi były także niebieskie, pochodzenia egipskiego, ważne dlatego, że ułatwiają określić wiek osady. Z przyborów toaletowych znaleziono ułomek grzebyka rogowego, a nawet połowę brzytwy bronzowej półkolistej.

A gdzie grzebali mieszkańcy osady swych umarłych? Niedaleko stacji Biskupina znaleziono cmentarzysko z grobami ciałopalnymi kultury łużyckiej. Najwi-

docniej więc przewożono zmarłych na czółnach przez jezioro, aby ich tu złożyć

Dalsze prace nad odkopywaniem osady winny nam dać jeszcze odpowiedź na pytanie, w jaki sposób przodkowie nasi wyrażali swoje wierzenia religijne, gdyż dotychczas nie natrafiono tu na ślady kultu. Tak się przedstawiają mniej więcej zdobycze naukowe odnośnie do osady biskupińskiej. Dalsze prace nad odkopywaniem trwają i przyniosą nam niezawodnie jeszcze dużo ciekawych odkryć.

Z naszych konceptów

Mówiono nam nieraz „Ruszcie konceptem", „Trzeba za dużo za was myśleć" — taką już marną opinję „ciężkiej w pomyślunku" miała nasza klasa. A no, bo życie jest szare, rok szkolny długi, lekcji dużo, na różne wyczyny czasu mało! Kiwałyśmy z ubolewaniem głowami nad niedolą własną...

Aż pewnego razu... Była godzina wychowawcza, za oknami chlipał smętnie jesienny kapuśniaczek, a my byłyśmy zestrojone w jedną symfonię tragizmu, determinizmu i jeszcze innych „izmów".

Wygłaszałyśmy zdania opuchłe pesymizmem, zabójczo rozpaczliwe, pachnące — utopieniem się w Wiśle (gdyby nie było dziś tak paskudnie zimno), a już co najmniej trącące o kilometr ciężkim rozstrojem nerwowym i zupełną abulią woli... Zdawało się, że gdyby poczciwy dach szkoły zawalił się w tej chwili na nas, powitałybyśmy ten ewenement, jako wyzwolenie od mąk naszego żywota...

Tymczasem dach się nie zawalił, ale za naszymi plecami rozległ się jakiś złowrogi trzask (osoby nerwowe uznały za stosowne drgnąć na całym ciele), a potem...

Cała kaskada szczerego, dzwonnego śmiechu przewalała się tam, od tyłu, od podłogi coraz wyżej, coraz wyżej. Gruba, wielka, jak amerykański policjant (200 funtów przepisowej wagi) Zośka, ta „nowa", gramoliła się z pod gruzów ławki na świat boży.

I nagle — cała klasa zaraziła się! — Niedoszli topielce pokładali się na ławkach i trzymali za żołądki od śmiechu. To był huragan! szał! burza! jakieś nagłe odprężenie, jakaś zawrotna reakcja!

I to był jeden z ważniejszych momentów w życiu naszej klasy... Proszę się nie śmiać, tak było naprawdę!

Po tym intermezzo zaczęła pierwsza mówić Irka: „Bo, proszę was, mnie się zdaje, że my jesteśmy naprawdę ciapy i ciamajdy! Topimy się, wieszamy, a gdybyś się, człowiecza duszo, choć parę razy na dzień w szkole tak uśmiał, jak teraz, toby nam zaraz jakoś raźniej było".

Nastąpiło ogólne poruszenie. Bo jak tu wyjść z honorem, kiedyś przed chwilą konał ze smętku, a potem nagle — umierał ze śmiechu? Zawodowe melancholiczki zaczęły na gwałt przybierać oblicze Nioby. Ale część klasy już kiwała potakująco głowami.

A Irka trzęsła i tak już roztrzęsioną, niczem kiepska fura siana, czupryną i nie dała się zbić z tropu... Dyskusji nie powtarzam (bo i nie pamiętam), ale efekt był taki, żeśmy postanowiły, iż jednym z naczelnych punktów naszych starań tegorocznych na terenie klasy będzie — uprzyjemnianie sobie wzajemnie życia. Aby zasię, jako to już pradziadowie wiedzieli, dobre chęci Polaków do wybrukowania wirydarzy duszom czyśćcowym nie posłużyły, ujęłyśmy rzecz w kilka konkretnych punktów: imieniny, Mikołaj, gwiazdka na terenie klasy i stopniowe rozszerzanie tego zakresu sprawiania przyjemności na całą szkołę.

Dotąd w dzień imienin wyściskały się wprawdzie koleżanice na modłę „allegro con brio" w oba policzki (podobno jest to bardzo niehigieniczne...), ale ostatecznie czekało cię „coś" tylko od przyjaciółki od serca, reszta koleżanek dowiadywała się o imieninach w ostatniej chwili, chyba, żeś była Zofią czy inną pospolitą Barbarą. Teraz obłożyłyśmy się składką 5 gr. na każde imieniny, kalendarz imienin uczennic zawisł w klasie, a skarbniczka klasowa wydobywała od każdej co miesiąc tyle razy po 5 groszy, ile było w tym miesiącu solenizantek. Trzy z nas podjęły się dobierania i kupowania prezentów.

To były drobiazgi: broszeczki, słonie (ale te małe), bywały i puderniczki, jakieś flakoniki na kwiaty, albumy do fotografii i t. p. Zawsze było to „coś" w kolorowej bibułce z bilecikiem od klasy, zawsze odtąd szłaś do ławki w dzień imienin ze drżeniem radosnym. I robił się nastrój miły na cały dzień.

A potem: zbliżał się św. Mikołaj. Przez dwa tygodnie w wielkim sekrecie przed resztą klasy trzy z nas (wraz z przewodniczącą klasy, bo ta musiała być au courant), wyciągały „z pod podłogi" w domu

i w czytelni stare żurnale, Światowidy, jakieś książki z karykaturami i „twory". Odwalało się poprostu (w tym wypadku bez grozy kary) jakieś rysunki, lub wycinało i zestawiało fotomontaże, całe historie ilustrowane. Potem wypacałyśmy wiersze — takie trochę z pod Częstochowy, ale był rym, to grunt, no i każdy wiersz pasował do kogoś.

Co z tego było radości i śmiechu szóstego grudnia, trudno opisać. (Naturalnie, że w „komitecie trzech" były koleżanki o dowcipie niezgorszym!).

Następnego roku, dla odmiany — i dla niespodzianki przygotowałyśmy dla klasy nieco podobnie już nie Mikołaja, ale Andrzejki, oczywiście z pewnymi specjalnymi modyfikacjami.

Mikołaja przygotowałyśmy wtedy dla całej szkoły w ten sposób, że scharakteryzowałyśmy odpowiednio każdą klasę oraz różne koła i kółka za pomocą karykatur i wierszyków. Pani dyrektorka zgodziła się na zaproszenie całej szkoły. Na szóstej lekcji, w auli, przy zapuszczonych zasłonach epidiaskopem wyświetlałyśmy kolejno ilustracje, a nasze słowiki klasowe śpiewały przytem odnośne wierszyki, każdy, naturalnie, na inną melodię. Mikołaj miał się doskonale!

Na Boże Narodzenie zrobiłyśmy w klasie coś nowego: jedna z koleżanek przygotowała na kilka dni przed półroczem kartki z nazwiskami uczennic i teraz dopiero były emocje, kto kogo wyciągnie. Trzeba było przygotować prezent dla tej, której nazwisko się wyciągnęło. Dziś, po paru latach, widzę, ile w tym dobrego: trzeba było wczuć się w gusta i pragnienia koleżanki, nie tylko tej — przyjaciółki od serca — ale tej, wyciągniętej — choćby była ci mniej sympatyczną. Naturalnie prezenty miały być skromne, tak, by nie przekraczały możności koleżanek biedniejszych. Trzeba było przy tym utrzymać do końca w sekrecie, kto kogo wyciągnął i co przygotowuje. (Zdaje się, że się rzeczywiście utrzymało w sekrecie, bo prawie każda z nas wiedziała, od kogo ma dostać prezent, ale to była wiadomość „tylko dla niej pod sekretem").

Przed ostatnią godziną wychowawczą pierwszego półrocza przewodnicząca klasy, której każda oddawała prezent dla koleżanki, owinięty w bibułkę i zaopatrzony w karteczkę, dla kogo, porozkładała te skarby na ławkach i przez całą godzinę było takie gaudium i rejwach przy wzajemnym oglądaniu prezentów, że nasza zacna wchowawczyni uspokajała nas ciągle, bo: „Pani Dyrektorka gotowa przyjść na te hałasy".

Na Prima Aprilis przygotowałyśmy niespodzianki nie tylko dla koleżanek, ale i dla grona; był nastrój sielsko-anielski (i nie pytano na stopnie).

Żeby lepiej objąć naszym „sianiem radości" także i całą szkołę, wymyśliłyśmy, na wzór gazetek geograficznych, historycznych i x-icznych — gazetkę humoru. Muszę stwierdzić całkiem obiektywnie, że ta gazetka cieszyła się największym powodzeniem. Stawali przed nią profesorowie i nauczycielki, ba, nawet nasza poważna Pani Dyrektorka czytywała ją (patrzyłyśmy z boku, jak się przy tym śmieje). Gazetkę tę trzeba było zmieniać często, dwa, trzy razy na tydzień, bo inaczej oskarżano nas po dwóch dniach, że: „przestarzała, wszyscy przeczytali". Materiału do gazetki dostarczyły pisma humorystyczne, dodatki humorystyczne itp. — naturalnie, po pewnym koniecznym przesianiu przez cenzora — Marysię K.

Stopniowo wytwarzał się w nas jakiś nałóg szukania okazji, by zrobić komuś przyjemność, tę przyjemność tanią, na którą nie wydaje się dziesiątków złotych, ale która warta jest — złota. Melancholii, mimo różnych tarapatów szkolnych, było i jest coraz mniej, jest w nas ogólnie pewna prężność, pewne szukanie środków zaradczych przeciw boleściom tego żywota, zamiast — kąpieli w Wiśle... A przyczyniła się do tego ta — nowa Zośka.

X.

TREŚĆ N-ru 2:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 30 gr.
Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.
Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska.
Warszawa, Łowicka 31.
Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.
Adres redakcji:
Pokrzywno, p. Krzesiny, pow. Poznań.
Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.